

PRZEMILCZANY LAS PIAŚNICKI

Rodacy! W wasze ręce oddaję Polaków!

Październik 1939 roku. Elżbieta Ellwart z Orla, koło Wejherowa, jest w siódmym miesiącu ciąży. Doskwiera jej samotność. Nie może doczekać się powrotu męża, zmobilizowanego w końcu sierpnia. Postanawia spędzić jakiś czas u teściów, zamieszkujących w niedalekim Leśniewie. Kobieta idzie skrótem. Lasem Piaśnickim. - Usłyszałam nagle głośne wezwanie do zatrzymania. Przede mną stał żołnierz niemiecki. Miał on na sobie mundur *Wehrmachtu* i hełm na głowie. Spytał mnie, skąd się tu wzięłam i czy nie widziałam tablic ostrzegawczych na skraju lasu. Odpowiedziałam, że widziałam tablicę, ale nie przeczytałam napisu... Nic nie mówiąc - odszedł. Wówczas rozejrzałam się wokół siebie. Nagle, w całkiem niewielkiej odległości od miejsca, w którym stałam, ujrzałam wiszące na drzewie ciało. Były to zwłoki księdza Bolesława Witkowskiego, proboszcza z Mechowa.

Ksiądz wisiał na rękach związanych nad głową, umocowanych do wielkiego drzewa. Miał on na sobie długą szatę liturgiczną. Słyszałam poprzednio, że Niemcy w chwili aresztowania kazali mu ubrać się tak, jak do Mszy świętej. Poznałam go od razu, bo widywałam go nieraz. Mój mąż był jego parafianinem.

Ks. Bolesław Witkowski, proboszcz w Mechowie od 1905 roku, dopomina się o prawa narodowościowe dla Polaków już w okresie zaborów, będąc posłem na Sejm pruski. Jest prezesem Towarzystwa Ludowego oraz organizatorem kółek rolniczych. Dba i zabiega, by żadne gospodarstwo kaszubskie nie dostało się Niemcom. Za wielkie zasługi dla swoich parafian po pierwszej wojnie światowej otrzymuje Order Polonia Restituta.

Stojąc jeszcze przez chwilę opodal drzewa, na którym wisiał ksiądz Witkowski, zaniósłam się głośnym płaczem. Wówczas żołnierz, który mnie uprzednio zatrzymał, podszedł do mnie, uderzył lekko w ramię i powiedział po niemiecku:

- Niech pani znika.

Chciałam ruszyć z miejsca, ale nie mogłam zrobić kroku. Żołnierz popchnął mnie ręką i ponaglił:

- Niech pani już idzie. Szybciej.

Siłą woli ruszyłam przed siebie, ale nogi mi tak zesztyniały, że chociaż chciałam biec, szłam bardzo wolno...

Elżbieta zmierzająca do domu teściów, kilkaset metrów dalej znowu staje porażona: - Pod innym drzewem spostrzegłam dwóch mężczyzn w białych koszulach, czarnych spodniach i butach z cholewami. Obaj byli mocno zakrwawieni. Jeden z nich trzymał dziecko. Za nóżki.

Może dwuletnie. On je rozdzierał, a potem uderzał główką o drzewo. Kilkakrotnie. Mężczyźni zauważyli mnie. Jeden z nich odrzucił dziecko na ziemię i obaj podbiegli do mnie. Na ich czarnych furażerkach zauważyłam znaki „SS”. Zaczęli wypytywać. Odpowiadałam, że nic nie widzę i nic nie wiem.

Po spisaniu personaliów mimowolnego świadka wydarzeń, hitlerowcy oddalili się. Zszokowana kobieta pospiesznie zmierza na przełaj w kierunku Leśniewa.

- Nagle zobaczyłam świeżo rozkopany prostokątny dół, a w nim wielu zabitych. Widziałam także zabitych, leżących na ziemi obok dołu oraz kilkanaście osób czołgających się po ziemi. Przypuszczam, że byli to ciężko ranni. Uprzytomniłam sobie wówczas, że (pewnie) stąd dochodziły do moich uszu jęki. Uprzytomniłam sobie, że znalazłam się przypadkowo na miejscu mordów dokonywanych na Polakach, o których wszyscy w Orlu i sąsiednich wsiach mówili...

O masowym rozstrzeliwaniu Polaków w Lesie Piaśnickim zeznawała nie tylko Elżbieta Ellwart, ale i wielu innych świadków podczas procesu gauleitera Gdańska Alberta Forstera. Wrócimy jeszcze do tych zeznań.

Po zajęciu Gdańska, Gdyni, Wejherowa, Pucka, Kartuz, Kościerzyny, osad na półwyspie helskim, wsi i miasteczek powiatu morskiego, Gestapo i żandarmeria polowa przeprowadzają selekcję ludności na podstawie wcześniej przygotowanych spisów. Jawnie. W kościołach, szkołach, innych budynkach publicznych i na placach. W kolejkach oddzielnie stają kobiety i mężczyźni. Zalęknieni, karnie podchodzą do stolików okazując dokumenty tożsamości. SS-mani z reguły pytają o wiek, zawód i przynależność do organizacji społecznych i politycznych. Jednym wystawiają świadectwa zwolnienia (*Entlassungsschein*), inni otrzymują skierowanie do więzień, obozów bądź na rychłe rozstrzelanie.

Tuż po wkroczeniu wojsk niemieckich aresztowano m. in. Lucjana Skupienia, naczelnika komisariatu rządu polskiego, Włodzimierza Szaniawskiego, wicekonsula rządu i Stanisława Łęgowskiego, dyrektora Urzędu Morskiego. Zamordowano starostę powiatowego Antoniego Potockiego i burmistrza Wejherowa Teodora Bolduana.

To inauguracja dawno zaplanowanej akcji wyniszczania tzw. polskiej warstwy kierowniczej Pomorza, przyłączonego właśnie do Rzeszy. W pierwszych tygodniach wojny egzekucje Polaków odbywają się prawie codziennie. Wedle jednakowego scenariusza: aresztowanie, przesłuchanie, tortury oraz śmierć na miejscu lub rozstrzelanie w zbiorowych egzekucjach. Mechanizm zabijania poprzedzają formalne ustalenia lokalnego sądu policyjnego złożonego z przedstawicieli hitlerowskiej policji państwowej, służby bezpieczeństwa SS oraz miejscowych Niemców. W połowie października 1939 roku, namiestnik i kierownik partyjny okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, Albert Forster, woła

podczas wiecu NSDAP w Wejherowie:

- Rodacy! W wasze ręce oddaję Polaków!

„Rodaków” - na ogół - Forster nie musiał zachęcać...

Niewiele lat później, w czasie procesu gauleitera Gdańska, Wanda Ługiewicz, zeznała, co pewnego dnia zobaczyła w aktach leżących na biurku w pokoju, zajmowanym w jej mieszkaniu przez dwóch funkcjonariuszy *Sicherheitsdienstu*, czyli niemieckiej służby bezpieczeństwa: Mieli kartotekę zawierającą dane o okolicznych włościanach, księżach, lekarzach i inteligencji. Przy nazwisku w kartotekach były uwagi *podżegacz* lub *niebezpieczny podżegacz*. W kartotece figurowały całe rodziny.

W innych regionach Polski trwają jeszcze walki obronne, a na Pomorzu najeźdźcy mordują elitę polskiego społeczeństwa. Fizycznej eliminacji poddawani są przede wszystkim ludzie znani, szanowani i popularni. Ma to zastraszyć pozostałych Polaków. Tylko na Kociewiu w pierwszych trzech miesiącach wojny wymordowano 8 proc. ludności polskiej.

Od października 1939 roku, do stacji kolejowej w Wejherowie docierają pierwsze transporty Polaków, przywożonych bezpośrednio z Rzeszy. Nie były one formowane naprędce, lecz wcześniej zaplanowane. Jak podaje Barbara Bojarska (*Piaśnica*, Ossolineum 1978), w aktach prezydenta rejencji pozdamskiej znajduje się pismo dowódcy SS i szefa policji niemieckiej - *Reichsfürer SS und Chef der Deutschen Polizei* - z 2 czerwca 1939 r. skierowane m. in. do prezydentów rejencji, dotyczące rejestracji policyjnej wszystkich obywateli polskich (*ausländerpolizeiliche Erfassung aller polnischen Staatsangehörigen*).

Dr Best, sygnujący swoim podpisem cytowany dokument, poleca przebadać ludność na okoliczność, kto jest Niemcem (*Volskdeutscher*), kto Polakiem (*Nationalpole*), a kto polskim Żydem (*polnischer Jude*). 7 września 1939 r., Best instruuje wymienionych adresatów o internowaniu na terenie Rzeszy *obywateli państw wrogich*. Trafiają do obozu Altenfurt, koło Norymbergi.

11 września 1939 roku, szef NSDAP okręgu branderburskiego poleca kierownikom powiatowym partii internować obywateli polskich i niemieckich narodowości polskiej uważanych za niebezpiecznych dla Rzeszy (*die als staatsgefährlich auszusehen sind*), łącznie z Niemcami obywatelstwa polskiego (*Volskdeutsche polnischer Staatsgehörigkeit*).

30 września, niemiecki Zarząd Główny Związku Rolniczego odpowiada uspokajająco na interwencję właścicieli ziemskich zatrudniających rodziny polskie, zaniepokojone pozbawieniem majątków siły roboczej: Należy kategorycznie poinformować policję o obywatelach polskich w wieku 15-65 lat i skierować do obozu pod Norymbergą. Członków Związku uspokoić ma zapowiedź rychłego przetransportowania do prac w ich gospodarstwach 25 tysięcy robotników z zajętej Polski.

Nie ma dotąd odpowiedzi na pytanie, co stało się z Polakami internowanymi z Rzeszy w pierwszych dwóch miesiącach wojny, skoro nie powrócili do swoich miejsc zamieszkania?

Kolejarz z Wejherowa Feliks Kreft, od wczesnej jesieni '39, co najmniej dwa razy w tygodniu, odbiera od dyżurnego ruchu ze stacji Lębork telefonogramy awizujące przybycie pociągu numer 591 relacji Szczecin-Gdańsk. Na końcu składu znajdują się dwa lub trzy wagony z pasażerami. Oficjalnie są nimi umysłowo chorzy. Feliks Kreft, wbrew zakazowi, podejmuje z nimi rozmowy:

- ...przekonałem się, że byli to ludzie zupełnie normalni... Pochodzili z głębi Niemiec, jak z Westfalii, Saksonii i Czech. Także Polacy posługujący się językiem niemieckim. Od najmłodszych lat do starego wieku. Mężczyźni i kobiety różnych stanów. Według ich zachowania doszedłem do przekonania, że ludzie ci nie znają swojego przeznaczenia.

Jedni pytali kolejarzy gdzie znajduje się *Umsiedlungslager* - obóz przesiedleńczy, inni mówili, że jadą do *Erholungshaus Piasnitz* - domu wypoczynkowego w Piaśnicy.

Kolejarz Jan Szuman wszedł do wagonu kolejowego po wyjściu zeń ludzi. Widział porzucone polskie gazety oraz zapisy po grze w karty w języku polskim. Według Wiktora Brylewskiego, pracującego na stacji w charakterze przetokowego, wagony odczepiano punktualnie kwadrans przed dziesiątą rano:

- Przychodził parowóz i odwoził wagony na tak zwaną ładownię towarową. Na bocznicy, obok szosy do Krokowej, gdzie czekały zazwyczaj autobusy i ciężarówki kryte brezentem. Ładowano osobno mężczyzn, osobno kobiety i osobno dzieci. Słyszałem rozpaczające matki, którym odbierano dzieci. Opierających się Niemcy bili kolbami karabinów. Bagaż transportu ładowali do ciężarówek. Transport odjeżdżał na szosę do Pucka, a ciężarówki z bagażem do gmachu siedziby policji czy też SS... Każdym wagonem przybywało 70-80 osób. Przechodząc przez wagony, by zamykać drzwi i okna, widziałem różańce oraz niemieckie i polskie książeczki do nabożeństwa.

Świadek widział powracające na stację te same autobusy i ciężarówki. Ludzi w nich nie było. Jedynie ubrania.

Tuż za Wejherowem, w kierunku północno-zachodnim, rozciągają się lasy. Jak przed wojną. Jedziemy szosą do Krokowej. Dziesięć kilometrów za Wejherowem...

- Musimy skręcić w lewo - nakazuje mój przewodnik Leon Prusiński-junior, Pomorzanie, jak mówi o sobie. - Ojciec z Golubia-Dobrzynia. Ja urodzony w Zdzierkowie, koło Lubawy. Od 1921 roku zamieszkaliśmy w Wejherowie. Ojciec kupił kamienicę z restauracją i kinem przy ulicy Sobieskiego.

Leon Prusiński-senior, radny miejski, przedstawiciel Stronnictwa Narodowego i znany działacz polonijny, figurował na liście proskrypcyjnej policji Rzeszy -

Sonderfahundungsbauch Polen Herausgegeben vom Reichskriminalpolizeiamt. Syn, który także jest na liście, przechowuje jej oryginał. Prusiński-junior, były więzień Stutthofu, po zakończeniu wojny działał na rozmaitych patriotycznych, społecznych i politycznych frontach. Świadek na procesie Forstera; członek komisji ekshumacyjnych miejsc masowych egzekucji na Pomorzu:

- W 1946 r. byłem przy ekshumacji pomordowanych w Lesie Piaśnickim. Tu lud śpiewał: *Nie ma Kaszub bez Polonii...* I ginął za to od kul okupantów... Na powierzchni 250 ha odkryliśmy 26 masowych grobów. Nie wszystkie; brak środków... W pierwszym transporcie, z Wejherowa, przywieziono prawdopodobnie 24 księży katolickich. Mój ojciec siedział w celi z dziekanem wejherowskim, ks. Edmundem Roszczynialskim.

Urodzony w 1988 r. w Łężycach, pod Rumią, gdzie rodzice mieli niewielki majątek. W 1913 r. kończy Seminarium Duchowne w Pelplinie. Posługuje w Drzycimiu, Grudziądzu, a w 1920 r. jest katechetą w wejherowskim Seminarium Nauczycielskim. Od 1924 r. proboszcz wejherowskiej fary. Współzałożyciel Gazety Kaszubskiej. Wydawca monografii „Kalwaria wejherowska, jej fundatorzy, duszpasterze i uroczystości”. Za krzewienie kaszubskiej tradycji, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Orderu Polonia Restituta.

Aresztowany w urodziny – 10 października. Więziony w Wejherowie i Lęborku. 11 na 12 listopada 1939 r. rozstrzelany w 51 roku życia i 26 kapłaństwa. Miejsce pogrzebania zwłok zasłużonego kapłana i wielkiego Kaszuby w zagajniku opodal szkoły w pobliskich Cewicach, zidentyfikowano dopiero czterdzieści lat później. 25 września 1979 r. uroczysty pogrzeb prowadzi w Wejherowie bp Bernard Czapliński.

Tej samej nocy, co dziekana wejherowskiego, rozstrzelano dwie nauczycielki wejherowskiego Seminarium Nauczycielskiego – Stanisławę i Kazimierę Panek. To córki zamordowanego wcześniej dr Panka, lekarza i działacza polonijnego, znienawidzonego przez mniejszość niemiecką organizatora spółdzielczości polskiej.

- O, w tym grobie na przykład odkryliśmy 118 zwłok – kontynuuje Leon Prusiński. - W pierwszym i drugim grobie, od prawej licząc, na samej górze spoczywały ciała Marii Nepierałowej i jej jedenastoletniego syna, Janka. Martwa matka trzymała dziecko za rękę. Augustyn Bigott z kolei - grób nr 59 - zakopany w pozycji klęczącej. To by znaczyło, że podczas zakopywania grobu jeszcze żył. Badania lekarskie wykazały, że wiele osób miało jedynie postrzały. Rannych Niemcy zakopywali żywcem. A że strzelać mogli niecelnie, wytłumaczenie jest proste - przy jednym z grobów znaleźliśmy piętnaście butelek po alkoholu.

Do 1948 roku, 1 września i w Święto Zmarłych, ciągnęły do Piaśnicy pielgrzymki z Kaszub, Kociewia, z całego Pomorza. Uroczystości miały rangę wojewódzkich, nigdy

centralnych. Na postawienie pomnika ku czci pomordowanych zezwolono dopiero latem 1955 roku.

Reżim warszawski nie bardzo kwapił się do czczenia pamięci pomordowanych Kaszubów, czy szerzej - Pomorzan. Komuniści skazali na niepamięć masową eksterminację Pomorzan w początkowych 100 dniach wojny, chociaż nie miały odpowiednika nigdzie indziej na ziemiach polskich.

Aresztowania były wszędzie. Tu jednak od początku, natychmiast stosowano ludobójcze metody eksterminacji całych rodzin, z niemowlętami włącznie. Zbrodnie popełniali nie tylko członkowie SS i policji, lecz również miejscowi Niemcy. Często sąsiedzi prześladowanych, uskrzydleni słowami gauleitera NSDAP i (od 23 sierpnia 1939 r.) państwowego naczelnika Gdańska Alberta Forstera:

- Ten naród musimy wytępić od kołyski...

Ówczesną atmosferę polityczną oddaje raport gdańskiego Wysokiego Komisarza Ligi Narodów, Karla Burckhardta:

W Wolnym Mieście niemal codziennie przeciągały przed naszym domem kolumny paramilitarnych formacji. Młodzież hitlerowska śpiewała: Dziś należą do nas Niemcy, a jutro cały świat.

Krwawą jesień pomorską skrywała szczelna kurtyna milczenia. Historiografia PRL „preferowała” zbrodnie niemieckie w innych regionach kraju. Nie jest prawdą jakoby rozstrzelanie 107 zakładników 26 i 27 grudnia 1939 r. w podwarszawskim Wawrze zainauguowało masowe egzekucje na ziemiach polskich. Wówczas kończyły się już najliczniejsze masowe egzekucje w lasach piaśnickich i szpęgawskich, w Toruniu, Bydgoszczy, Rypinie oraz innych miastach i wsiach pomorskich i kujawskich.

Nawet Himmler, który 30 października 1939 roku zarządził bezwzględne usunięcie z Pomorza i Wielkopolski Polaków nie aprobujących nowej władzy, miał później wątpliwości w kwestii zastosowanych metod, obawiając się, czy w przyszłości nie wzbudzą sprzeciwu i potępienia.

W pierwszych trzech miesiącach okupacji w zbiorowych egzekucjach na Pomorzu straciło życie około 22 tysiące Polaków. Wymordowano niemal całą miejscową inteligencję polską. Nauczycieli i księży katolickich, którzy w stosunku do ich stanu liczbowego ponieśli największe straty. Ziemiaństwo, kupców i urzędników oraz działaczy polskich organizacji społecznych i politycznych.

Miał tu miejsce masowy, dokładnie zaplanowany mord. Polacy umieszczeni na listach proskrypcyjnych nie mieli wielkich szans. Zlekceważenie, nieświadomość niebezpieczeństwa i odwlekana, spóźniona ucieczka oznaczały szybką śmierć.

Ofiary z pomorskich miejsc kaźni – nie tylko z Lasu Piaśnickiego – wciąż czekają na sprawiedliwą pamięć.

SIEDEM STRZAŁÓW W PLECY KASZUBSKIEGO BURMISTRZA

Przed wybuchem wojny rozpoczyna działalność tajna instytucja do zadań specjalnych w Polsce o kryptonimie „Sonderreferat Unternehmen Tannenberg”. W Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie podlega jej utworzony 12 września 1939 r. oddział operacyjny „Einsatzkommando 16” pod dowództwem dr Rudolfa Trögera, szefa gdańskiego gestapo. Natychmiast po wkroczeniu Wehrmachtu na ziemię Wybrzeża Gdańskiego, funkcjonariusze oddziału ujawniają się i przystępują do pracy.

Einsatzkommando podejmuje akcję masowych aresztowań, głównie przedstawicieli polskiej inteligencji. Metodycznie, z pomocą przygotowanej w Berlinie specjalnej książki zatytułowanej „Sonderfahndungsbuch Polen 1939”. To spis nazwisk Polaków przeznaczonych do internowania, a w dalszej kolejności – zgodnie z wcześniej opracowanymi planami - fizycznej likwidacji.

Dowódcy wojskowi wkraczający na Pomorze Gdańskie, mają w tyle głowy przełożone na dyrektywy i wytyczne myśli skrzydlate „swojego” Führera. Jak wygłoszone 22 sierpnia 1939 roku, na odprawie najwyższych dowódców Wehrmachtu w Obersalzbergu, gdzie Hitler przedstawia zamierzenia narodowosocjalistycznych Niemiec wobec narodu polskiego:

„Dżingis-Chan spowodował śmierć milionów kobiet i dzieci decyzją swej woli i w pogodzie ducha, a historia widzi w nim jedynie wielkiego twórcę państwa. (...) Wydałem rozkazy i każę rozstrzelać każdego, kto piśnie słowo krytyczne wobec zasady, że wojna nie ma za zadanie dojścia do pewnej linii, lecz fizyczne zniszczenie przeciwnika. Dlatego na razie wysłałem na wschód tylko moje Totenkopfstandarte, którym wydałem rozkaz zabijania bez litości i pardonu wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka” (Tadeusz Cyprian, Jerzy Sawicki: Agresja na Polskę w świetle dokumentów. Warszawa 1946, t. II, s. 141. Dokument Norymberski L-3).

Zrazu „Totenkopfstandarte” - formacje trupich czaszek - najokrutniej postępują na Pomorzu Gdańskim. W „Programie Narodowościowym” III Rzeszy umieszczono rozprawę z Kaszubami: „[...] w ciągu czterech do pięciu lat pojęcie Kaszubów musi stać się nieznane, ponieważ wówczas kaszubskiego narodu już nie będzie” (Akta Trybunału Wojskowego w Norymberdze. Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich nr IV/1948, s. 123).

Monachium, 3 czerwca 1936 roku. Europejski zjazd burmistrzów Rzeszy. Adolf Hitler

podchodzi do przedstawianych mu gości. Staje przed postawnym, eleganckim mężczyzną. To burmistrz Wejherowa – Teodor Bolduan.

- Sind sie aus Korridor? (Jest pan z korytarza?)

- Nein, ich bin aus Polen (Nie, jestem z Polski).

Führer przystaje i przypatruje się dłuższą chwilę burmistrzowi kaszubskiego miasta. Obecni dostrzegają wyraz zakłopotania na twarzy kanclerza, grającego rolę orędownika pokoju. Wyraźnie przyspiesza powitanie prezentowanych mu osób. Jednak co pewien czas odwraca głowę ku miejscu, gdzie stoi przewyższający wszystkich wzrostem gość. „Zdawało się, że myśli teraz tylko o nim i o odpowiedzi, jaką otrzymał”, pisał przed laty znakomity, choć nie dość znany gdański reporter Bogusław Holub.

To Hitler „przecież ukuł określenie – korytarz – na wąski pas ziemi zapewniający Polsce dostęp do morza. Ten polski korytarz do morza dzielił Rzeszę i Prusy. Traktowany był przez Hitlera pogardliwie (...) Tymczasem polski burmistrz miał odwagę zapewnić go, że ta ziemia i jego miasto są Polską. I to publicznie (...) w stolicy Rzeszy. To nie była więc tylko gra słów (...) ale określona demonstracja polskiej racji stanu” (Burmistrz z płonącego korytarza. Tygodnik Wybrzeże).

Rocznik 1902, pochodzi z ubogiej rodziny kaszubskiej, z Kościerzyny, ale jego ród wywodzi się z Francji. Przodkowie osiadają na Pomorzu w okresie prześladowań hugonotów.

Młody Bolduan pracuje w składzie galanterii żelaznej i dokszałca się w szkole zawodowej (stenografia, księgowość). Przenosi się do Torunia, ale w 1920 roku, na wieść o rozbijaniu Grenzschtzu na Pomorzu powraca w rodzinne strony. Jest świadkiem usunięcia niemieckiego burmistrza Kościerzyny i objęcia stanowiska przez Klemensa Lniskiego.

W Toruniu zgłasza się do Wojska Polskiego. Pełni służbę w Samodzielnym Batalionie Wartowniczym. Po ukończeniu kursu pisarzy sztabowych w Grudziądzu, odchodzi do cywila. Od 1921 roku pracuje w kościerzyńskim Starostwie Powiatowym. W 1924 r. zdaje eksternistycznie maturę. Kończy kurs administracji w Instytucie Samorządu Krajowego i 3-letni Uniwersytet Ludowy. Angażuje się w pracy politycznej i społecznej w Związku Naprawy Rzeczypospolitej, Związku Strzeleckim, Polskim Związku Zachodnim, Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem i w Obozie Zjednoczenia Narodowego.

Uzdolniony i pracowity młody urzędnik zwraca uwagę przełożonych. W 1931 r. wojewoda pomorski, Wiktor Wrona-Lamot powołuje go na referendarza Urzędu Wojewódzkiego Pomorskiego w Toruniu, a kolejny wojewoda, Stefan Kirtiklis, mianuje swoim sekretarzem osobistym.

Teodor Bolduan składa egzamin na urzędnika państwowego I kategorii. 1 listopada 1932 roku obejmuje urząd wicestarosty powiatu morskiego, a niespełna rok później odbiera

także nominację na komisarycznego burmistrza niespełna 14-tysięcznego Wejherowa. Miasta wówczas zaniedbanego, zadłużonego, z pokaźną rzeszą bezrobotnych. 7 kwietnia 1934 roku, Rada Miejska większością głosów wybiera go zawodowym burmistrem Wejherowa na ustawowy okres dziesięciu lat.

Jedyny kaszubski burmistrz w II Rzeczypospolitej zaczyna od przeglądu kadr w administracji, gdzie niemało stanowisk zajmują urzędnicy niemieccy, zazwyczaj niekompetentni, niejako w naturalnej opozycji do burmistrza. Bolduan preferuje Polaków o wysokich kwalifikacjach. Doprowadza do wyeliminowania z Rady Miejskiej niemieckich nacjonalistów, którzy nie kryją wrogiego stosunku do Polski. Jest wśród nich Gustaw Bamberg, który nie zapomni burmistrzowi „krzywdy”.

Przeciwko burmistrzowi zawiązuje się koalicja niezadowolonych z egzekwowania należności podatkowych przedsiębiorców, zazwyczaj niemieckich. Zarząd Miejski ma też opozycję w postaci silnej endecji. Ekipa Bolduana przewycięża przeszkody i uzdrawia budżet miejski. Ruszają inwestycje komunalne, zmniejsza się wydatnie bezrobocie. Mieszkańcy znajdują zatrudnienie m. in. w nowej betoniarni oraz wytwórni płyt chodnikowych i ulicznych.

Burmistrz należy do inicjatorów założenia Towarzystwa Ogródków Działkowych, którego członkowie tylko w 1938 roku budują około 100 domków. Zamożniejsi mieszkańcy, przeważnie wolnych zawodów, ale również kupcy i kolejarze wnoszą wille. W niewielkim Wejherowie wybudowano basen kąpielowy o wymiarach olimpijskich oraz korty tenisowe.

W mieście wychodzą dwa popularne tytuły prasowe. „Gazeta Kaszubska”, anonsująca się bezpartyjnym pismem narodowym i katolickim oraz trzymająca profil regionalny „Klëka”. Z inicjatywy burmistrza powstaje Teatr Kaszubski im. Hieronima Derdowskiego. W miejskim kinie prócz seansów filmowych odbywają się mecze bokserskie.

W 1937 roku, Sejmik Pomorski przyznaje miastu 5 tys. zł na wydawanie literatury kaszubskiej. „L. Roppel wyszperał w archiwum zapis stypendialny hrabiów Przebendowskich z XVIII wieku i [...] zwrócił się do ojca miasta, w dowcipnej formie, o przyznanie mu stypendium, jako najzdolniejszemu studentowi Uniwersytetu Jagiellońskiego z Wejherowa. I otrzymał je - w wysokości 46,49 złotych miesięcznie” (strona internetowa UM).

Teodor Bolduan jest wytrawnym mówcą. Wygłasza pogadanki o Kaszubach, m.in. przed mikrofonami Rozgłośni Pomorskiej Polskiego Radia w Toruniu. Pisze artykuły o mieście i tradycjach regionu. Kwestuje w czasie zbiórek ulicznych na pomoc zimową, na rzecz sił zbrojnych i inne szczytne cele. Od 1935 roku należy do rozlicznych stowarzyszeń i instytucji. Jest w Radzie Naczelnej Związku Miast Polskich, sekretarzem zarządu Związku Miast Pomorskich oraz członkiem Rady Nadzorczej Banku Gospodarstwa Krajowego w

Poznaniu. Piastuje wiele funkcji społecznych w Wejherowie. Jest Radzie Powiatowej, przewodniczy Radzie Nadzorczej Drukarni Kaszubskiej, prezesuje Ochotniczej Straży Pożarnej i PCK. Jest członkiem Bractwa Kurkowego (ostatni król, 1938) i Towarzystwa Gimnastycznego Sokół.

Od stycznia 1939 roku, Teodor Bolduan kieruje w Zarządzie Miejskim zespołem w składzie: dr Stanisław Taper, wiceburmistrz oraz ławnicy Teofil Baldowski, kupiec kolonialny, Alojzy Jagalski, doktor medycyny i Franciszek Klecha, właściciel domu.

W powiecie morskim, obejmującym Wejherowskie i Puckie, mieszka 85% Polaków, 4% Niemców, 3% Żydów i 8% obywateli innych nacji. Zamożna mniejszość niemiecka ma zagwarantowane traktatem wersalskim szerokie uprawnienia, których często nadużywa. Wzrasta buta miejscowych Niemców ostentacyjnie lekceważących państwo polskie. Rodaków przejeżdżających przez Wejherowo w drodze z Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy pozdrawiają hitlerowskim podniesieniem ręki. Odbywają tajne zebrania hitlerowskie organizacje: Deutsche Vereinigung, Jungdeutsche Partei, Ostmarkenverein i Hitlerjugend.

Kaszubski burmistrz polskiego miasta przeciwstawia się szowinizmowi niemieckiemu. Wraz z komisarzem wejherowskiej policji (kpt. Leon Graczyk) przyzwala członkom Polskiego Związku Zachodniego na rozbijanie zgromadzeń, których uczestnicy działają na szkodę państwa polskiego. Wykryto dwie siatki szpiegowskie. Podejrzani Niemcy trafiają do aresztu.

Teodor Bolduan ma świadomość zagrożenia. Jawne groźby publikuje wydawany w Wolnym Mieście Gdańsku „Danziger Vorposten”. Dostaje poufną informację, że figuruje na sporządzanej w Berlinie tajnej księdze Sonderfahndungsbuch Polen. Liście Polaków, posegregowanych według „stopnia szkodliwości Rzeszy”. To praktycznie wyrok śmierci.

14 lutego 1938 roku, dowództwo 1 Morskiego Batalionu Strzelców w Wejherowie obejmuje ppłk Kazimierz Pruszkowski. Rok później dobrze wyszkoloną, dysponującą doborową kadrą jednostkę przemianowano na 1 Morski Pułk Strzelców.

Wobec nasilających się symptomów wojny, żołnierze budują schrony i okopy. Z budżetu miasta przeznaczono kilkadziesiąt tysięcy złotych na zakup drewna do budowy umocnień. Wejherowo posiada środki żywności pozwalające mieszkańcom przetrwać nawet półroczny stan oblężenia (sic!).

24 sierpnia zarządzono pełną mobilizację. Podpułkownik Pruszkowski powierza burmistrzowi miasta obowiązki komisarza cywilnego. Atak armii „Północ” pod dowództwem gen. Fedora von Bocka nie jest zaskoczeniem. Oddziały Wehrmachtu kilka dni forsują system obronny miasta.

7 września nadchodzi wieść o kapitulacji bohaterskiej załogi polskiej placówki na Westerplatte. Opór Niemcom stawia jeszcze Hel. Dowódca 1 Morskiego Pułku Strzelców jest

realistą. Wieczorem, siódmego dnia wojny, Pruszkowski wydaje rozkaz wycofania 1 MPS z Wejherowa. Od 10 do 19 września pułk walczy na Kępie Oksywskiej, ważnym trzonie Lądowej Obrony Wybrzeża, gdzie dowodzi płk Stanisław Dąbek. Burmistrz Bolduan żegna współpracowników i drabiniastym wozem konnym wymoszczonym słomą, zmierza do Gdyni i stawia do dyspozycji komisarza rządu RP - Stanisława Sokoła.

9 września do Wejherowa wkraczają oddziały Wehrmachtu, których dowódcy wojskowi zarządzają zaplanowane represje przeciwko Polakom. Pierwszymi ofiarami są zakładnicy i jeńcy wojenni. Część żołnierzy polskich wziętych do niewoli po upadku Gdyni, przewieziono na wejherowski rynek. Biciem zmuszano do podniesienia w góry ręki podczas odgrywania hymnu niemieckiego. Wśród oprawców jest jeden z synów von Krockowa, wpływowego właściciela pobliskiej posiadłości ziemskiej i pałacu w Krokowej.

Pobitych jeńców umieszczono w wejherowskim więzieniu. Kilku rozstrzelano na dziedzińcu i pochowano w pobliżu więziennego śmietnika. Niemcy obchodzą konwencję genewską o jeńcach w ten sposób, że zwalniali żołnierzy z niewoli, po czym znowu aresztują rzekomo już cywilów.

Podobnie jak w innych pomorskich miastach, także w Wejherowie władze okupacyjne usiłują zapewnić sobie gwarancje bezpieczeństwa i spokoju społecznego poprzez branie zakładników, zazwyczaj znanych w środowisku osób. Po kilkunastodniowym zatrzymaniu, większość zakładników zwolniono z więzienia, ale ich przyszłość jest niepewna. Przykładem los 15 księży dekanatu wejherowskiego. Uwolnieni w drugiej dekadzie września, jesienią w większości aresztowani ponownie. Zatem w obawie przed ponownymi represjami, niektórzy ze zwolnionych natychmiast wyjeżdżają do centralnej Polski.

26 października 1939 roku, z zajętych ziem przedwojennego województwa pomorskiego, Wolnego Miasta Gdańska i części sąsiadujących z nim ziem, utworzono nowy Okręg Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie (Reichsgau Danzig-Westpreussen), w którym władzę cywilną obejmuje Albert Forster, dotychczasowy Gauleiter NSDAP i namiestnik Wolnego Miasta Gdańska.

Nominację na starostę wejherowskiego (Landrata) i powiatowego przywódcy NSDAP (Kreisleiters) otrzymuje pochodzący ze Złotowa Heinz Lorentz. Burmistrzem zostaje funkcjonariusz NSDAP Karl Nitschke. Stanowisko zastępcy burmistrza obejmuje znany z nienawiści do Polaków Gustaw Bamberger, kilka lat wcześniej zmuszony do odejścia z Rady Miejskiej Wejherowa. Nieustający krytyk i przeciwnik przedstawicieli polskich władz miasta.

Oprócz nowych członków zarządu miasta, akcją nieustającej fali aresztowań kierują szefowie gestapo (Hans Söhn) i żandarmerii (Karl Lassen). Lokalne władze NSDAP korzystają także z usług służby bezpieczeństwa (Sicherheitsdienst), policji ochronnej

(Schutzpolizei) i pomocniczej (Hilfspolizei).

Pierwsza fala represji uderza w Wejherowian i mieszkańców powiatu. Z reguły aresztowani w miejscu pracy lub zamieszkania, ale także na ulicach pobliskiej Gdyni, gdzie trwa zarządzana przez władze okupacyjne akcja „oczyszczania” (Sauberungsaktion). Personalia masowo zatrzymywanych mężczyzn konfrontuje się z „listą gończą”, wspomnianą Sondefahndungsbuch Polen. Aresztowani najpierw są przetrzymywani w zorganizowanych naprędce obozach internowania dla jeńców cywilnych na terenie tzw. Etapu Emigracyjnego w gdyńskiej dzielnicy Grabówek i gdańskim Nowym Porcie. Niektórych skierowano do gdańskiego więzienia Schiesstange. Natomiast część przetransportowano do będącego w fazie organizacji obozu koncentracyjnego Stutthof.

W wejherowskim więzieniu następuje ostatni etap uciemiężenia zatrzymanych – selekcja. Kierują nią z gorliwością fanatyków Eberhardt Ströhm i Gustaw Bamberger. Obaj naziści znani z nienawiści do Polski i Polaków już w okresie międzywojennym. Pomagają im między innymi przybyli z Rzeszy Wilhelm Baske, Franz Koepke, Willy Szamand, Leo Neiss, Karl Rieck, Paul Schramm i Hans Söhn.

Bamberger, skonfliktowany przed wojną z burmistrzem miasta i Polakami z Rady Miejskiej, penetruje i tłumaczy dokumenty. Ochoczo wskazuje zasłużonych mieszkańców, którym wypomina działalność przeciwko Niemcom. To między innymi wójt gminy Wejherowo Edmund Łakomy, starosta powiatu Antoni Potocki oraz woźny gimnazjum Teofil Naczka.

Za każdym z nich snuje się jak cień tajny wyrok śmierci. Wytypowanych „wrogów Rzeszy” przesłuchuje esesman Herbert Teuffel, z gdańskiego gestapo. Procedurę kończy odczytanie listy skazanych na śmierć. Prawo do obrony i sądu nie obowiązuje.

Teodora Bolduana ujęto w obławie 14 września. W gdyńskiej siedzibie gestapo na Kamiennej Górze skonfrontowany z listą osób wytypowanych do fizycznej likwidacji w pierwszej kolejności. Burmistrza odtransportowano do więzienia w „jego” mieście i osadzono w pojedynczej celi.

Niemcy traktują powszechnie szanowanego polskiego patriotę nadzwyczaj okrutnie. Bity, maltretowany do utraty przytomności. Rolę niejako osobistego oprawcy więźnia podejmuje esesman Hans Schöwe. Przedwojenny woźny wejherowskiego magistratu, używający wtedy personaliów Jan Szewa. Już w połowie 1939 roku zbiegł do Gdańska, gdzie wstąpił na ochotnika do dywizji SS Heimwehr-Danzig.

Celem hitlerowców jest poniżenie i upokorzenie pierwszego w Polsce kaszubskiego burmistrza miasta. W asyście uzbrojonej eskorty, z przytwierdzonym na szyi żelaznym łańcuchem, zamiata ulice „swojego miasta” i sprzęta municypalne wychodki.

Kres gehenny następuje mniej więcej miesiąc po zatrzymaniu, około 15 października. Gestapowcy wywożą ofiarę pod Zamkową Górę, blisko 3 km od miasta. Potajemnie. W lesie, 300 m od szosy, polecają mu wykopać dół. Na koniec strzelają w plecy.

Ciało 37-letniego Teodora Bolduana przeszywa siedem pocisków. Sprawcy zbrodni wrzucają je do stosunkowo płytkiego dołu. Na piersi ofiary kładą niewielki głaz, po czym przysypują dół ziemią i przykrywają gałęziami.

Nikt nie miał się dowiedzieć o miejscu egzekucji burmistrza. Jednak tajemnica długo się nie utrzymała. Tej samej jesieni pierwszego roku wojny, w restauracji Schumanna (dziś 3 Maja 33) biesiaduje kilku gestapowców. Podpici przechwalają się, gdzie i jak rozstrzelali burmistrza. Niedowierzającego restauratora instruują o usytuowaniu miejsca zbrodni.

Schumann odnajduje ukrytą w lesie mogiłę. Na korze dwóch drzew kreśli znak krzyża i inicjały „TB”.

W 1946 roku, restaurator wyznaje swoją tajemnicę pierwszemu powojennemu burmistrzowi miasta. Bernard Szczęsny zarządza ekshumację ciała Teodora Bolduana.

Trumnę ze zwłokami wystawiono na widok publiczny w sali posiedzeń ratusza. Nazajutrz kondukt rusza przez miasto do Bramy Jerozolimskiej. Mieszkańcy Wejherowa tłumnie żegna swego burmistrza.

W kawalkadzie samochodów trumnę z ciałem przewieziono do jego rodzinnego miasta. Przedwojenny burmistrz Wejherowa znalazł miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu w Kościerzynie. W kwaterze Polaków pomordowanych przez Niemców w czasie II wojny światowej.

Dziś i w Wejherowie i w Kościerzynie jego imię noszą ulice i szkoły.

Co w czasie wojny się działo z rodziną Teodora Bolduana?

LEKCJE DLA NIEMCÓW

Tu, ten nasz fyrtel, w Wolnym Mieście Gdańsku miał charakter pewnego rodzaju oazy. Kamienice na Grunwaldzkiej oznaczone numerami 126 i 128 zamieszkiwali wyłącznie Polacy. Przed wojną naszym sąsiadem zza ściany był Kazimierz Wiłkomirski, naonczas dyrektor Polskiego Konserwatorium Muzycznego w Gdańsku. Piętro wyżej z kolei mieszkał Jan Pastwa, profesor gdańskiego Gimnazjum Polskiego.

Stara kamienica przy ulicy Grunwaldzkiej we Wrzeszczu. Lokatorem z najdłuższym stażem, półwiecznym z okładem - wyłączając okres okupacji - był Witold Kledzik. Odwiedzałem go kilkakrotnie w latach 80-tych. Senior gdańskich przewodników.

Gdańszczanin z zamiłowania, chociaż urodzony daleko stąd 17 10 1906).

- Mój ojciec wyjechał do Niemiec w poszukiwaniu pracy. Przyjęli go na kolej. Został maszynistą. Ja przyszedłem na świat w Berlinie. W dziewięćset szóstym. Jako drugie dziecko... Rodzice - wkrótce po zakończeniu I wojny światowej - przenieśli się do Nakła. Ja poszedłem w ślady ojca. Mając czternaście lat też dostałem pracę na kolei. W umowie miałem zapisane: „młodociana siła biurowa”. Ktoś taki, jak goniec. Przynieś. Podaj. Pozamiataj...

W 1924 roku, zgłasza się na ochotnika do 3 pułku lotniczego, stacjonującego w Poznaniu. Ma osiemnaście lat.

- Wstąpienie do wojska traktowałem, jak obowiązek patriotyczny. Po zakończeniu służby planowałem powrócić do pracy na kolei. Kryzys gospodarczy spowodował jednak redukcje i powrót na kolej okazał się niemożliwy, chociaż złożyłem odwołanie nawet do Ministerstwa Spraw Wojskowych. W efekcie dostałem ofertę pracy w radiostacji wojskowej. Wyjechałem na Wołyń, do Równego.

Ojciec pana Witolda pracuje w tym czasie na stanowisku komisarza odbiorczego parowozów w Gdańsku. Syn odwiedza rodziców podczas pierwszego urlopu. Po dwóch latach nieobecności.

- Gdańskiem, całym Trójmiastem zresztą, z miejsca byłem zauroczony. Już nie chciałem wracać na Kresy... Tak się złożyło, że w Gdyni był olbrzymi deficyt kolejarzy. Przyjęto mnie z uzasadnieniem „powracający z wojska” i zaraz skierowano na kurs dyżurnych ruchu. Kilka miesięcy później pracowałem już w Gdańsku. Zamieszkałem z ojcem na Przeróbce, później samodzielnie w Gdańsku-Oliwie, wreszcie zakotwiczylem tu, we Wrzeszczu.

Wolne Miasto Gdańsk, to teren działania kilku, o ile nie kilkunastu organizacji stricte polskich, z Gminą Polską na czele. Swoje kluby i stowarzyszenia mają kolejarze, żołnierze rezerwy, powstańcy i legionści. W dniach świąt narodowych wszyscy spotykają się podczas uroczystej, polowej Mszy świętej na Westerplatte. W 1933 roku powstaje Związek Polaków, do którego akces zgłaszają obywatele RP, mieszkańcy obszaru objętego jurysdykcją Wolnego Miasta.

Już w latach pachołących, Kledzik uczestniczy w tajnych zajęciach berlińskiej filii Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”. W Gdańsku nie ogranicza się do członkostwa w jednej organizacji zrzeszającej miejscowych Polaków. Przeciwnie, dość wymienić Macierz Szkolną i Związek Polaków (jeden z pierwszych członków) oraz kilka „towarzystw”. Śpiewu „Moniuszko”, Przyjaciół Harcerstwa, Byłych Powstańców i Wojaków oraz Budowy Kościoła pod wezwaniem Chrystusa Króla, polskiego oczywiście. Jest także członkiem wspierającym i zawodnikiem w sekcji strzeleckiej Kolejowego Klubu Sportowego „Gedania”.

Początkowo gdańskim Polakom nie żyło się w Wolnym Mieście źle. Nasilenie antypolonizmu nastąpiło po dojściu do władzy Hitlera. Nastroje wrogości przybrały po nominacji Alberta Forstera na gauleitera, dotychczasowego komisarycznego przywódcy NSDAP na obszarze Wolnego Miasta Gdańska,. Wbrew układom międzynarodowym otrzymał on specjalne pełnomocnictwa, umożliwiające sprawowanie faktycznej kontroli nad gdańskim Senatem.

W domach Polaków wywieszających flagi podczas świąt narodowych zaczęto wybijać szyby, eksmitowano ich z zajmowanych mieszkań. Rodziców posyłających dzieci do polskich szkół zwalniano z pracy. Starannie podsycana nienawiść sprawiała, że dzieci niemieckie nagle przestawały się bawić z polskimi. Młodzież niemiecka zrzeszona w Hitler-Jugend wszczyna napady na uczniów polskich szkół. Bojówki hitlerowskie działają w sposób coraz bardziej ostentacyjny. Rozpędzają zebrania legalnie działających organizacji polskich. Pikietują polskie urzędy i instytucje. Mnożą się napaści na Polaków, których efektem są także ofiary śmiertelne.

Gdańscy Polacy są w defensywie. Czy mogli się bronić przed ekspansją narodowosocjalistycznych Niemiec? Jak?

Jedną z niewielu polskich instytucji na terenie Wolnego Miasta są Polskie Koleje Państwowe. Witold Kledzik od kilku lat jest osobistym sekretarzem dyrektora Biura Gdańskiego PKP.

- Zgodnie z Traktatem Wersalskim do pracy na kolei mieliśmy przyjmować wyłącznie obywatele gdańskich. Nie odbiegając od obowiązujących przepisów, dyrekcja akceptowała wnioski o przyjęcia do pracy przede wszystkim chętnych narodowości polskiej. To doprowadziło do sytuacji, że w jednostkach PKP na terenie Wolnego Miasta pracowało prawie pięćdziesiąt procent Polaków. Było niewiele stanowisk kierowniczych nieobsadzonych przez nas. Należało jednak przeciwstawić się paramilitarnym oddziałom niemieckim.

Gospodarz mieszkania podchodzi do okazałych rozmiarów szafy. Wyjmuje i kładzie na stole tekturową, poszarzałą ze starości, wypełnioną dokumentami teczkę zatytułowaną: PTOW.

- ...czyli Polska Tajna Organizacja Wojskowa, której powstanie trzeba datować na rok 1933. Pomysłodawcą, głównym motorem napędowym działania oraz dowódcą PTOW był Henryk Królikowski-Muszkiet, kierownik gdańskiej Ekspozytury Inspektoratu Ceł. Szkielet strukturalny organizacji, to prawie kalka Związku Strzeleckiego. W pięciu kompaniach o nazwach: Kaszuba (Gdańsk-Orunia), Orzeł (Śródmieście), Bałtyk (Wrzeszcz), Mewa (Sopot) oraz Gryf (Oliwa), gdzie byłem zastępcą komendanta, mieliśmy ponad stu ludzi w każdej. Jedni całkiem młodzi, przed dwudziestym rokiem życia, ale i rezerwiści. PTOW dla Polaków

z obywatelstwem Wolnego Miasta organizowała w Macierzy kilkutygodniowe obozy wojskowe. Nasza działalność miała swoje znaczenie, lecz - prawdę mówiąc - w porównaniu z przedsięwzięciami o charakterze militarnym Niemców, zwłaszcza w zakresie uzbrojenia - wyglądało to mizernie. Mieliśmy przeważnie pistolety i broń myśliwską oraz broń własnej roboty. Służba Ochrony Kolei, której w pewnym czasie szefowałem, dysponowała 48 naganami. Niewiele w porównaniu z przedsięwzięciami hitlerowców, którzy ponadto - o czym trzeba pamiętać - mieli wsparcie większości niemieckiej na terenie Gdańska.

Faktycznie, maturzyści niemieccy przechodzą obowiązkowe przeszkolenie wojskowe w Prusach Wschodnich, po czym wstępują do SS-Heimwehry, którą 5 czerwca 1939 roku ustanowiono organem zbrojnym NSDAP i Senatu Wolnego Miasta. To kilka tysięcy uzbrojonych w pistolety, umundurowanych młodych mężczyzn, mających za dowódców zawodowych wojskowych. Zezwolenia na posiadanie broni wydawano tylko członkom partii narodowo-socjalistycznej (R. Gamm: Swastyka nad Gdańskiem. Warszawa 1960, s. 67-68).

Senat Wolnego Miasta zezwolił członkom Hitler-Jugend nie tylko na noszenie mundurów, lecz również sztyletów u boku. Wraz z członkami Selbstschutzu, uzbrojeni ponadto w kastety i pałki, co rusz napadają na Polaków. Nie tylko w Gdańsku, ale i w mniejszych ośrodkach, również wiejskich. Na porządku dziennym są prowokacje. Bojówki niemieckie obrzucają obelgami młodych Polaków, a gdy ci odpowiadają podobnie, trafiają do aresztu pod zarzutem „obrazy narodu niemieckiego” (Karol Grünberg: Hitler-Jugend. Toruń 1998, s. 174).

Wiosną, a zwłaszcza z początkiem lata 1939 roku, Gdańsk odwiedzają nadzwyczaj licznie turyści specjalnej proveniencji. Gros, to mężczyźni wyróżniający się od innych przyjezdnych, że nie wracają do miejsc swojego zamieszkania, bowiem bilety wykupili tylko w jedną stronę. Zaraz po przybyciu do Wolnego Miasta Gdańska „turyści” zasilają szeregi sił zbrojnych. Czekają już na nich mundury w kolorze feldgrau, z wyhaftowanym na rękawach napisem „SS-Heimwehr Danzing”, czyli Obrona Krajowa Gdańska.

- Wiedzieliśmy w PTOW, czy Związku Polaków, że ze statków niemieckich cumujących w basenach Stoczni Schichaua, wyładowywany jest sprzęt i uzbrojenie wojskowe. Członkowie SS-Heimwehr, wprawdzie na obrzeżach miasta, ale właściwie bez żadnej konspiracji, odbywali ćwiczenia. Wieczorami natomiast budowali umocnienia militarne w sąsiedztwie granicy polsko-gdańskiej.

18 sierpnia, gdańskim Długim Targiem defiluje półtoratysięczna brygada SS-Heimwehr, pod dowództwem Obersturmbaunführera Goetza. Wśród wiwatujących, rozentuzjasmowanych tłumów gdańskich Niemców, defiladę przyjmuje gauleiter Forster. Na trybunie honorowej towarzyszą mu generał Wehrmachtu Friedrich Georg Eberhard i SS-

Obergruppenführer Radies.

- Postaraliśmy się, aby Gdańsk i jego mieszkańcy nie byli więcej bezbronni! – krzyczy Forster.

„Der Danzinger Vorposten” informuje nazajutrz: „Po raz pierwszy od dwudziestu lat znowu wmaszerowały do Gdańska nowoczesne oddziały wojskowe”.

23 sierpnia - naruszając konstytucję Wolnego Miasta - Senat Gdański zatwierdza ustawę o mianowaniu Alberta Forstera głową (Staatsoberhaupt) Gdańska.

Umundurowani hitlerowcy organizowali ostentacyjne przemarsze ulicami Gdańska. Godna uwagi jest charakterystyka ówczesnej atmosfery politycznej autorstwa Wysokiego Komisarza Ligi Narodów: „W Wolnym Mieście niemal codziennie przeciągały przed naszym domem kolumny paramilitarnych formacji. Młodzież hitlerowska śpiewała: Dziś należą do nas Niemcy, a jutro cały świat” (Carl Burckhardt: Moja misja w Gdańsku 1937-1939. Warszawa 1970, s. 166).

W ostatnich dniach sierpnia, policja aresztowała większość komendantów kompanii Polskiej Tajnej Organizacji Wojskowej, co spowodowało zasadnicze trudności z wykonaniem zadań wyznaczonych na wypadek wybuchu wojny. Minister Spraw Zagranicznych otrzymuje szyfrowaną depezę od ministra Mariana Chodackiego, Komisarza RP w Gdańsku, który jest przeciwny obronie polskich obiektów na terenie miasta.

Informacje wywiadu polskiego o koncentracji wojsk niemieckich wzdłuż całej granicy z Polską skłaniają Naczelne Dowództwo WP do rezygnacji z planu interwencji w Gdańsku. 31 sierpnia, o godz. 8,30, dowódca armii Pomorze, gen. dyw. Władysław Bortnowski, dostaje telefonogram: „Kwatera Główna Korpusu Interwencyjnego, elementy pozadywizyjne (...) i 13 Dywizja Piechoty otrzymały rozkaz załadowania i odchodzą do dyspozycji Naczelnego Wodza. 27 Dywizja Piechoty oddana do dyspozycji dowódcy armii. Generał Skwarczyński ze ścisłym sztabem zamelduje się jak najszybciej w Naczelnym Dowództwie”.

Polska diaspora w Gdańsku nic nie wie o treści depeż. Witold Kledzik opowiada o losie komendanta kompanii Orzeł PTOW, kolejarza Piotra Teshmera:

- Był oficerem zawodowym. Kawalerem Orderu Virtuti Militari. W latach dwudziestych, szef Centralnej Szkoły Podoficerskiej w Pińsku, na Polesiu. Kilka miesięcy przed wybuchem wojny Piotr Teshmer organizuje zabezpieczenie urzędów i instytucji polskich w Gdańsku. Sam dowodzi oddziałem broniącym Poczty Polskiej. Ranny, po kapitulacji, trafia do niewoli. 29 września, sąd w Gdańsku skazuje go na karę śmierci. 5 października zostaje rozstrzelany, wraz z wziętymi do niewoli pocztowcami.

Na liście osób przeznaczonych do internowania umieszczono także Witolda Kledzika. Hitlerowcy mieli informacje o jego działalności pozazawodowej, zwłaszcza w Polskiej Tajnej

Organizacji Wojskowej i Związku Polaków.

- W Gdańsku zbliżający się wybuch wojny czuliśmy, dosłownie, przez skórę. Zgodnie z rozporządzeniem Komisarza Generalnego RP w Gdańsku, podobnie jak inni urzędnicy państwowi wywoziłem rodzinę, żonę, Ludwikę oraz trzech synów (najstarszy pięć lat) do Polski. Zamieszkali u mojej matki w Solcu Kujawskim.

2 września wróciłem do Wrzeszcza. Przed wejściem do naszej klatki schodowej, przywołała mnie z okna sąsiadka z domu obok. Niech pan nie idzie na górę, ostrzegła, bo hitlerowcy kilka razy już po pana byli. Natychmiast uciekłem i noc spędziłem w jednym z budynków kolejowych. Nazajutrz otrzymałem w pracy specjalną przepustkę koloru żółtego upoważniającą do chodzenia po torach oraz polecenie wyjazdu służbowego do Gdyni, gdzie, nie bez perypetii, dotarłem drogą okrężną, przez Tczew i Kościerzynę.

Kilka dni później rozpoznał go gdański Niemiec i zadenuncjował. Wraz z innymi zatrzymanymi czekał wiele godzin na przesłuchanie. Gestapowiec, przed którym staje jest znużony długim dniem pracy.

- Jestem tłumaczem na dworcu i zatrzymano mnie wskutek nieporozumienia – blefuje Kledzik.

Tego dnia ma szczęście po raz drugi. W tym samym czasie przesłuchiwany jest jego brat, Waclaw, który podaje do protokołu:

- Witek zginął podczas walk na Oksywiu.

Gestapowiec dekretuje: „nieboszczyk” i skreśla Witolda Kledzika z listy poszukiwanych.

- Na Pomorzu Gdańskim nie mogłem pozostać. 3 października, a więc w trakcie trwającej już na szeroką skalę akcji eksterminacyjnej przeciwko kadrze kierowniczej pomorskich Polaków, rowerem udałem się w podróż do Solca, by połączyć się z rodziną. Zwłaszcza, że żona była w siódmym miesiącu ciąży. U celu podróży dowiedziałem się o tragedii, jaka wydarzyła się 5 września. Żona zginęła od kul podczas ewakuacji. Synowie moi ocalili tylko dzięki swojej babci, czyli mojej matce.

- Pan Witold wciąż zadziwia świetną dyspozycją – komplementuje Urszula Woźniak, szefująca miejscowemu oddziałowi PTTK. – Żywotny. Pracowity. Niemordowany. Wzór dla młodych, którzy o tę pracę wcale się nie biją.

Pokój pana Kledzika ma stary, dobry metraż; jakieś trzydzieści kilka metrów. Meble solidne, wręcz zabytkowe. Ściany przesłaniają regały z książkami i szafy wypełnione bezcennymi woluminami.

- Książek będzie ponad dwa tysiące egzemplarzy - zauważa mimochodem gospodarz i

podaje do sernika pachnącą kawę. – Kawa, widzi pan, jest u mnie zawsze. Była nawet za Jaruzelskiego, kiedy brakowało wszystkiego. Oprawdam wycieczki, a Niemcy za udzielane lekcje czasami dają mi dodatkową gratyfikację.

Skorowidz księgozbioru uporządkowany w dwudziestu jeden działach. Przykładowe tytuły: Gmina Gdańska Związku Polaków, Macierz Szkolna, Klub Kolejowy „Gedania”, Stutthof... Prócz książek – dokumenty, bezcenne opracowania, maszynopisy i albumy fotograficzne, oddzielnie opisane, wyselekcjonowane: rodzinne, narodowe, gdańskie.

Kustosze tego prywatnego mini muzeum opowiada o meandrach gdańskiej historii. O zawiłościach losów gdańskich, pomorskich Polaków. Snuje wątek wierności Ojczyźnie, chwilach zwątpienia i zdradzie. Przywiązaniu do miejsc młodości, miłości i nienawiści. Bohaterstwie i martyrologii. Witold Kledzik mówi o historii fascynująco. Sam jest historią. Tak, człowiek-historia.

Berlińczyk z urodzenia, Gdańszczanin z miłości.

PS. Witold Kledzik zmarł 7 listopada 1988 roku.

ZAWIEDZIONY KOCHANEK EUROPY

UCIECZKA Z DOMU OBLĄKANYCH

Pomijany w kanonach lektur. Nieobecny w bibliotekach. Pośmiertnie dołącza do klasyków prozy polskiej XX wieku. Postać nieznana dla kilku pokoleń polonistów z cenzurami uniwersyteckimi. Dopiero upadek reżimu umożliwia rodzaj „odczarowania” emigracyjnego twórcy. Bibliografia prac o Andrzeju Bobkowskim liczy dziś kilkaset pozycji.

Erudyta. Nałogowy miłośnik słowa pisanego. Z wykształcenia ekonomista. Z natury wieczny chłopiec i włóczęga. „Jestem flancą, która łatwo przyjmuje się wszędzie”, pisze w liście do Jarosława Iwaszkiewicza.

Syn generała. Jedynek. Owoc, jak wspomina w liście do Tymona Terleckiego, „małżeństwa delikatnej, odcytanej, obracającej się ciągle w towarzystwie pisarzy [...], grającej, śpiewającej – słowem orchidei z Wilna [...] z żołdakiem austriackiej armii”. Wychowanie staranne: „Poezja, języki obce, literatura, muzyka, to od najwcześniejszych lat ciche godziny z matką. Potem, gdy skończyłem siedem lat, ojciec zwyczajem Słowian orzekł, że syn przechodzi pod opiekę męską. Ogolił głowę, dwie godziny konnej jazdy na czczo, nauka bridża [...], gimnastyka, szermierka, strzelanie ze wszystkiego z działem 75 mm włącznie, wszystkie manewry z ojcem, a równocześnie podziemna praca matki dalej, a Mereżkowski, a Rousseau, a Baudelaire, a Verlaine.

Jak mnie [...] w gimnazjum, wysłali za granicę dla wyszlifowania francuskiego i niemieckiego, to na dworcu mama odprowadzała mnie na stronę, robiła znak krzyża na czole i dawała do portmonetki medalik z Matką Boską, a potem ojciec brał mnie na stronę i dawał pudełko prezerwatywów <Olla> i błogosławieństwo na drogę w postaci przysłowia bośniackiego ‘a kukurat stoi, pamet u muzycy’, czyli <jak k... stoi, to rozum do d... idzie>. Takie to było wychowanie”.

Kilka miesięcy przed wybuchem wojny, z ledwie poślubioną żoną, wyjeżdża z Polski do Francji. Z upodobania – modelarz samolocików. Z powołania – pisarz. Za życia wydaje jedną książkę, ale fenomenalną. Dziennik okupacyjny „Szkice piórkim”. „To jedna z najważniejszych książek opublikowanych przez Instytut”, akcentuje Jerzy Giedroyc. „Bobkowski rozpoczynając dziennik liczy 26 lat i zostaje pisarzem od razu”, pisze Tymon Terlecki. To literatura stanów gorących, rzeczywistości dziejącej się „tu i teraz”, jak najdalsza od fikcji. Jak rasowy reporter, czyni zapiski przy każdej sprzyjającej okazji. Rządziej w hotelu, częściej pod namiotem, na skwerze, na plaży, w przydrożnym rowie. Napędzany przekonaniem o konieczności udokumentowania niezwykłych, epokowych zdarzeń.

Tytuł jest złudny. Bobkowski inauguruje dziennik w momencie dramatycznym - 20 V 1940 r. Osiem dni po przerwaniu frontu francuskiego. 14 czerwca dywizje niemieckie wkraczają do Paryża. Francja godzi się na bezwarunkowe zawieszenie broni. Państwo podzielono na strefę północną, okupowaną przez Niemców oraz tzw. „Państwo Francuskie”, z ulokowanym w Vichy rządem i 100-tysięczną armią. W tej drugiej strefie znalazł się Bobkowski.

„Szkice...”, to autorskie spojrzenie na Francję w obliczu klęski i zapis stanu ducha Francuzów. Jest świadkiem wjeżdżania do miast niemieckich czołgów z otwartymi wieżyczkami. Żołnierze francuscy oddają nieużywane karabiny. Spotyka oddziały wciąż uciekających wojsk francuskich, aby tylko nie podjąć walki i poddające się „na telefon” Niemcom. Zarazem opowieść o rowerowej wędrowce po kraju, z mistrzowskimi opisami architektury i przyrody oraz życia codziennego po wybuchu wojny. Zapis rozczarowania brakiem woli oporu Francuzów. Kapitulację i obraz degrengolady wyidealizowanej, fascynującej i kuszącej Francji, Bobkowski odbiera, jak perfidną zdradę cynicznej kochanki. Dalej uwodzi, ale udaje, bo jest już z innym...

„Czy Europejczyk rozumie słowo wolność?”, pyta rozżalony. Ostatni zapis w „Szkicach...” - 25 sierpnia 1944 r.; moment wyzwolenia Paryża przez wojska amerykańskie.

Nie akceptuje Europy w kształcie ustalonym w Poczdamie. Inteligentny, przenikliwy, obserwuje postępującą demoralizację powojennych elit, deprecjację wartości europejskich, narastanie poprawności politycznej. Rozgoryczony upadkiem moralnym zainfekowanych

komunistyczną ideologią francuskich elit, ulega ostatecznie przeświadczeniu, że Europa Zachodnia nie będzie alternatywą kulturalną dla krajów i narodów zawładniętych przez imperium sowieckie.

Bobkowski „był przekonany, że komunizm zwycięży w Europie i wszystko zaleje”, tłumaczy Giedroyc. „Pewnego dnia zjawił się u nas zupełnie zdecydowany, tak że nie było żadnej dyskusji, i oświadczył, że wyjeżdża do Gwatemali”.

Wie, że nie będzie wykonywał „zawodu” intelektualisty. Przeważa pragnienie zaznania własnej, całkiem osobistej „niepodległości”. Emigrant wybiera docelowo miejsce z pewnością egzotyczne. Gwatemala zajmuje nieco ponad jedną czwartą obszaru przedwojennej Polski. 25 czerwca 1948 roku, Barbara i Andrzej Bobkowsy wchodzą na pokład statku „Jagiello”, odpływającego z Cannes do Cristobal Colon w Panamie.

Najpierw pracę znajduje Barbara, plastyczka. Dekoruje wystawy. Mąż zrazu zarabia, jako tragarz, potem pracuje w fabryce butów, a następnie dostaje posadę buchaltera w magazynie maszyn rolniczych. W wolnym czasie, Bobkowski szwenda się po mieście. Zauważa całkowity brak „modeli samolotów latających” w sklepach z zabawkami. Postanawia wypełnić tę lukę, a zarazem powrócić do swojej przedwojennej pasji. Wykonuje pierwszy model, który po dwóch tygodniach prób zanoszą do najlepszego sklepu i rzuca nim na posadzkę. Model „ląduje” nietknięty siłą uderzenia, co stanowi rękojmię jakości wyrobu. Odtąd wytwarzanie i sprzedaż modeli samolotów będzie głównym źródłem utrzymania wybitnego intelektualisty i utalentowanego pisarza.

Polskę opuszcza bez świadomości, że nigdy już do niej nie powróci. „Był duchowo niepodległy i pilnował tej swojej niepodległości z nieustanną czujnością”, wspomina Gustaw Herling-Grudziński. „Po przeprowadzce <Kultury> z Rzymu do Paryża przewiózł ją w sercu i umyśle do Gwatemali i pozostał jej wierny do śmierci. [...] żył kilkanaście lat z jednym uchem przytkniętym do <Kultury>, a drugim do Polski. Mógłbym go krótko określić tak: był surowy, ostry i wymagający z nadmiaru miłości. Dlatego to, co pisał i mówił, mogło wywoływać sprzeciwy, rozniecać dyskusje, ale nie odbiegało nigdy od prawości myśli i uczuć. Zaufanie do niego budziły natychmiast dwie cechy: prostolinijność i uczciwość”.

Poza „Kulturą” publikuje w londyńskich „Wiadomościach”, a początkowo, tuż po wojnie, także w pismach krajowych, jak „Tygodnik Powszechny”, „Dziś i Jutro”, „Twórczość”, „Nowiny Literackie”. Skromną spuścizną literacką przytłacza, można powiedzieć, bogata, olbrzymia korespondencja. Niemalże całe dorosłe życie spędził poza Polską, więc listy były jedynym sposobem komunikacji z bliskimi.

W 1970 roku, Instytut Literacki wydaje „Coco de Oro”, tom szkiców i opowiadań Bobkowskiego drukowanych w „Kulturze”. W Polsce „Szkice piórkiem” wydano w 1997

roku. W roku następnym korespondencja z lat 1946-1967 między Bobkowskim i Gieroyciem (Warszawa 1998) oraz „Listy do Tymona Terleckiego 1956-1961” (Warszawa 2007). W 2008 r. wydano w Polsce tom jedenastu opowiadań Bobkowskiego pt. „Punkt równowagi” (Kraków 2008), „Listy z Gwatemali do matki” (Warszawa 2008).

Bobkowski uciekł od komunizmu i nie może pojąć, a w końcu znieść mody „na komunizm” luminarzy paryskich salonów. A priori odrzuca perspektywę dyktatu, odgórnego narzucania człowiekowi potrzeb i zachowań. „Krzyczy” o abdykacji Europy, która wygrała wprawdzie wojnę, ale przegrała pokój. W zagęszczającej się atmosferze zimnej wojny, nie jest osamotniony w przerażeniu perspektywą inwazji azjatyckiej kultury, kojarzonej z Armią Czerwoną.

Przyczyny zamilczenia w Polsce twórczości literackiej i znaczącego dorobku publicystycznego Bobkowskiego, nie są trudne do odgadnięcia. To niezmienny, konsekwentnie deklarowany antykomunizm syna sanacyjnego generała. Przenikliwy i kategoriyczny aż do bólu. Pewny swoich racji. Obnaża hipokryzję ludzi pióra angażujących się po stronie kolejnego garnituru władzy, zawsze gotowych do pracy w usługach spółki pod kierownictwem Bermana i plejady następców stalinowskiego pomiotu. Píše z pasją. Myśl wyklada jasno, językiem dosadnym, co przyjaciół mu nie przysparza. „I jak pan teraz wygląda? Jak ch... wielbłąda”, naigrywa się z omamionych komunizmem pisarzy socrealistów, pryszczatych et cetera, akceptujących dekady błędów i wypaczeń, przyklaskujących kolejnym odwilżom.

Prof. Krzysztof Ćwikliński, historyk literatury z UMK, akcentuje dar przenikliwości Bobkowskiego, który „dostrzegł <żelazną kurtynę> na długo przed jej ustanowieniem, ale obawiał się też, że może ona runąć pod uderzeniem dywizji sowieckich, które – nie łudził się – nie zatrzymają się na Renie, a w najlepszym razie na Pirenejach”.

W komunistycznej Polsce pozostała matka pisarza – Stanisława Bobkowska. W listach do niej relacjonuje codzienne zmagania zmierzające do zapewnienia podstaw egzystencji sobie i żonie. Syn sanacyjnego generała na emigracji nie żyje w dobrobycie. Przeciwnie. Ale nie dla polepszenia statusu materialnego porzuca Stary Kontynent.

Swój na pozór szalony wybór tłumaczy matce często w tonie usprawiedliwienia. Zapewnia wielokrotnie, że jest szczęśliwy, bo spełnia się w młodzieńczej pasji modelarskiej, która w wieku dojrzałym zmieniła się w zawód. Píše matce o sprawach najprostszych, niby banalnych. „Oszłamiające bogactwo myśli poruszających wyobraźnię, świetna stylistyka, celna argumentacja, nagromadzenie przeżyć, doświadczeń i obserwacji, które by starczyły na dalszych parę tomów prozy”, píše o listach Włodzimierz Odojewski. Notabene pisywał także do Giedroycia, Terleckiego i Anieli Mieczysławskiej, żony prezydenta RP na Uchodźstwie,

Edwarda Raczyńskiego.

Komunistyczny reżim wdowę po przedwojennym generale traktuje „standardowo”. Stanisława Bobkowska – znajoma Przybyszewskiego, Kasprowicza, Żeromskiego, szwagierka Osterwy – pracuje w charakterze garderobianej i magazynierki w krakowskim Teatrze Rozmaitości. Synowa i syn ledwie wiążą koniec z końcem, ale pomagają jej materialnie w miarę możliwości, a Andrzej wspiera duchowo.

Po 1956 roku, Bobkowski bardziej otwarcie „dyskutuje” z matką o sytuacji politycznej w Polsce: „Przecież w TYM systemie ludzie MUSZĄ kraść, ludzie muszą stać się egoistami i diabłami, bo ten system niczego nie rozwiązuje i nigdy niczego nie rozwiąże”. [...] „Polska z odległości sprawia wrażenie obłąkanej. Ludzie w nędzy, ale co miesiąc nowe pismo społeczno-kulturalne. Kultura i pusty brzuch to trudne na dalszą metę”.

Żywo zainteresowany aktualnymi wydarzeniami politycznymi. Dostrzega dramatyczną bezowocność walki o niepodległość Polaków. PRL definiuje, jako „dom kilku tysięcy wariatów ideologicznych”, w którym reszta ludzi zdrowych usiłuje sobie wmówić, że jednak nie żyją w Tworkach. Wcześniej rozczaruje go Europa, osobliwie Francja, „strzęp europejski opanowany przez syfilis polityczny, społeczny, ideowy, moralny, intelektualny”.

Patrzy szeroko i daleko. Jednocześnie zauważa istotne szczegóły i odkrywa detale, których rangę klasyfikuje wedle znaczenia. Pisze do Giedroycia: „Zapytałem Pana, dlaczego Pan nie kradnie, tak samo jak kiedyś zapytałem o to siebie. I tu z całą szczerością doszedłem do przekonania, że najsilniejszym hamulcem jest dla mnie to, co zostało mi wszczepione przez ojca jako reprezentanta pewnej klasy: Bo tego s i ę nie robi”.

„Tego się nie robi”... Człowiek przyzwoity zna granice dostępu. Nie ulegnie pokusie przystąpienia do dostatniego, łatwego, ale moralnie skarlałego, podłego świata. Andrzej Bobkowski jest zwolennikiem i niezłomnym obrońcą prostych zasad i stylu. Życie jest dla niego przygodą, poszukiwaniem, wyzwaniem. W stałej opozycji do obłudy, pychy i próżności. „Te zalety niejako upoważniają, dają prawo do jasnego i bezpośredniego formułowania sądów [nawet] kontrowersyjnych i niepopularnych, [...] do których inni nie mieliby odwagi przyznać się publicznie”, zauważa Ćwikliński.

Wobec powojennego podziału świata, powrót do Polski uważa za niemożliwy. „Londyńczycy” żartowali, że Bobkowski jest „spod zaboru” paryskiej „Kultury”. Uwiedziony przez Giedroycia (i wzajemnie), niemniej lektura gęstej intelektualnie korespondencji obu panów dowodzi nieustannych sporów. „Bardzo go cenię, ale nie jestem zaślepiiony i zawsze się z nim wyklócam”, pisze z Gwatemali do Terleckiego.

Giedroyc rozpoznaje wartość twórczości Bobkowskiego. Najchętniej widziałby go w zespole „Kultury”, ale podejmowane próby „zwabienia” Boba do Europy - już to pod

pretekstem rocznego stypendium literackiego, albo posady korespondenta pisma w Berlinie – spełzają na niczym.

Pan Maisons Laffitte nie znajduje dość argumentów, aby wybitnie utalentowany pisarz porzucił swoją pasję i sklep modeli latających w peryferyjnej Gwatemali. Bobkowski skazuje siebie na siedem lat pisania jedynie z „doskoku”, ale za nic nie chce sprzeniewierzyć się swojemu wyobrażeniu wolności osobistej i zestawowi prostych zasad etycznych.

„Piszę do Was z pewnego rodzaju żarliwością typu, który całe życie cenił nieprzytomnie wolność, [...] oderwałem się od wszystkich rzeczy na emigracji, od zapewnionego chleba <przy>, <koło>, i jako intelektualista zdobyłem się na dobrowolną próbę sił, aby być naprawdę wolnym, aby mieć prawo zdechnąć z głodu bez niczyjej litości, skoro nie dam sobie rady. Nie starałem się do niczego <doczepić>, bo chciałem i musiałem być wolny. [...] Mogę sobie o każdej godzinie dnia spojrzeć w lustro, prosto i jasno, i powiedzieć: <Nie s... się ani na cal>” (1957).

Pojęcie wolności własnej, osobistej tłumaczy prostą konstatacją, że przez dwanaście lat życia w Gwatemali nikt nie zażądał odeń pokazania dowodu osobistego. Drobiazg? Ale jaką może sprawić radość człowiekowi ceniącemu wolność w kategoriach niemalże absolutu.

Na szczęście upadek Europy, to nie koniec świata, bo „Ameryka to inny świat, to świat, który można z serca pokochać i być zadowolonym, że umrze się tutaj, a nie w tym europejskim gównie, w tych francuskich, czy angielskich smarkach”.

Człowiek obdarzony niesłychanie silną potrzebą niezależności. Bezkompromisowy w sądach. Z determinacją szuka swojego miejsca w życiu i w literaturze. Wyróżnia go cięty, daleki od poprawności politycznej język. „Prawdziwy pisarz, to nie ten, który dobrze pisze, ale który najwięcej dostrzega”, jakby mimochodem wyklada swoje credo.

Dorobek pisarski Andrzeja Bobkowskiego ilościowo nie jest imponujący. Zaabsorbowany rozlicznymi zajęciami związanymi z zapewnieniem sobie i żonie podstaw egzystencji, nie pisze wiele. Dużo więcej czasu poświęca czytaniu. Jego twórczość z biegiem lat dojrzewa, oscyluje wokół spraw pryncypialnych.

Niełatwo znaleźć w literaturze XX wieku postać wzbudzającą tyle rozbieżnych opinii, kontrowersji, w podobnym stopniu stygmatyzowaną i deprecjonowaną. Outsider z wyboru. „Buntownik”, „chuligan literatury”, „histeryk wolności”...

Talent dany od Boga, ale niespełniony. Przedziera się do literatury jedną książką, lecz emigrant tworzy wielkie dzieło zawarte w listach. Jego obszernie „epistolograficzne lawiny” (Maciej Urbanowski), to oryginalny konglomerat gatunków - dziennika, eseju, reportażu, licznych polemik. Styl charakterystyczny, z elementami humoru, sądów ostrych aż po brutalność.

W istocie jest człowiekiem łagodnym i ciepłym. „Romantyczny realista”, który preferuje

cechy i dziś zapoznane. Jak lojalność, moralność, odpowiedzialność, wierność. „Wierzę w koty i w rum, i w słońce, i w zielone drzewa, i w wolność”, pisze o sobie samym.

I niejako dopełnia artystyczną autokreację: „Chcę mieć prawo zdechnąć z głodu, jeżeli sobie nie dam rady. I żyć na litość boską, żyć trochę tak, jak mnie się podoba, a niekoniecznie tak, jak się podoba jakiejś zas... ideologii. Amen”.